

GUY DE MAUPASSANT

OJCIEC AMABLE

Guy Maupassant

Ojciec Amable

«Public Domain»

Maupassant G. d.

Ojciec Amable / G. d. Maupassant — «Public Domain»,

Prosta historia o nieślubnym dziecku, małżeństwie i śmierci, opowiedziana językiem pozornie suchym i rzeczowym, ale na koniec poruszająca. Wyrafinowany warsztatowo i mistrzowski stylistycznie opis rzeczywistości wiejskiej końca XIX wieku. Normandzki chłop chce, pomimo sprzeciwów ojca, ożenić się z dziewczyną obciążoną nieślubnym dzieckiem. Guy de Maupassant opowiada tę historię kilka razy, za każdym razem zaczynając od innego momentu, pokazując złożoność całej sytuacji. Do ślubu ostatecznie, dzięki pomocy proboszcza, dochodzi — co rozpoczyna ciąg tragicznych wypadków. Guy de Maupassant uznawany jest za jednego z najwybitniejszych pisarzy naturalistycznych. Jego nowele cechuje oszczędność stylu, precyzyjne prowadzenie opowieści osadzonych w życiu zwykłych ludzi oraz głęboki fatalizm.

Содержание

I	5
Конец ознакомительного фрагмента.	9

Guy de Maupassant

Ojciec Amable

I

Wilgotne i szare niebo zdawało się wisieć nad szeroką ciemną doliną. Zapach jesieni, smutny zapach nagiej i wilgotnej ziemi, opadłych liści, martwych ziół, czynił jeszcze gęstszym i cięższym powietrze jesiennego wieczoru.

Wieśniacy pracowali jeszcze, rozproszeni po polach, oczekując dzwonu na Anioł pański, któryby zwołał ich do chat, widzianych tu i ówdzie, po przez gołe gałęzie sadów.

Na kraju drogi, na kupie badyli bawiło się ziemniakami małe dziecko, podrzucając nimi na nędzną sukienczynę rozpostartą na szeroko rozłożonych nóżkach, podczas gdy w pobliżu, na roli, pięć kobiet schylonych kopało ziemniaki.

Powolnym i monotonnym ruchem zagłębiały kopaczki w wysokich, piaszczystych brzdach, wygrzebywały rękami ziemniaki, wrzucając je do stojących przed nimi worków.

Drogą przeszedł młody mężczyzna z batem w ręce w sabotach na nogach, – zatrzymał się przy dziecku, wziął je na ręce i pieścił. Jedna z kobiet na roli wyprostowała się i zbliżyła się do niego. Była to rośl, czerwona dziewczyna, szeroka w biodrach i piersiach, wielka samica normandzka o jasnych włosach i rumianej cerze.

Tonem stanowczym odezwała się:

– A, to był Cezar, – no i coś nowego mi powiesz?

Mężczyzna, chłopak nędzny, o smutnym wyrazie twarzy odburknął:

– Ja? nic nowego, zawsze to samo.

– On nie chce?

– Nic chce...

– Cóż zatem robisz?

– Czy ja wiem sam co robić?

– Idź do proboszcza.

– Dobrze, pójdę...

– Ale idź zaraz.

– Dobrze, pójdę zaraz.

Popatrzyli chwilę na siebie, on trzymał ciągle dziecko na rękach, uściśnął je znowu i oddał na ręce dziewczyny.

Na horyzoncie, między dwoma domostwami widać było pług ciągniony przez konia i mężczyznę idącego za pługiem. Na tle ciemniejącego wieczornego nieba przesuwali się obaj, koń i człowiek, lekko jak cienie.

Kobieta zaczęła na nowo.

– A więc coś mówi twój ojciec?

– Mówi że nie chce.

– Dlaczego nie chce?

Chłopak wskazał ruchem głowy dziecko, które posadził z powrotem na ziemi, potem wzrokiem wskazał jej mężczyznę idącego w oddali za pługiem.

– Bo masz z nim dziecko, odrzekł.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a potem wybuchła z gniewem.

– I coś z tego! Każdy wie że mam dziecko z Wiktorem. Więc co? czy to ja jedna co tak zgrzeszyłam? Moja matka tak grzeszyła przedtem nim mnie miała, a także i twoja, zanim twój ojciec z nią się ożenił. Która tak nie robiła w naszej wsi? Tak! Ja zgrzeszyłam z Wiktorem, wziął mnie w

stodole jak spałam, prawda, zgrzeszyłam z nim potem jak nie spałam, czyż przez to mniej jestem wartą jak inne?

Chłopak odrzekł dobroduszenie:

– Ja cię chcę, taką jak jesteś, z tem dzieckiem, lub bez niego. Ojciec mój tylko się sprzeciwia ale i temu da się jakoś zaradzić.

– Idź zaraz do probostwa, mówię ci.

– Idę, idę...

I poszedł swym ciężkim krokiem wieśniaka, dziewczyna zaś z rękami na biodrach wróciła kopać ziemniaki.

Rzeczywiście Cezar Houlbrequé, syn głuchego, starego Amablea Houlbrequé'a chciał się ożenić wbrew życzeniu ojca z Celestyną Lèresque, która miała dziecko z Wiktorem Lecoq, zwyczajnym parobkiem we fermie jej rodziców, wypędzonego przez nich za to.

Na wsi nie istnieje zresztą kastowość hierarchii, i parobek jeśli jest pracowitym i weźmie fermę na siebie, staje się równym swemu dawnemu panu.

Cezar idąc z batem w ręce rozmyślał głęboko ciężko stąpając sabotami oblepionymi błotem.

Zapewne, pragnął poślubić Celestynę, wziąć ją razem z dzieckiem, była bowiem kobietą jakiej potrzebował. Nie umiałby wprowadzić określić dlaczego ale był pewnym swojego wyboru. Wystarczyło mu tylko spojrzeć na nią by być o tem przekonany, aby się czuć dziwnym, całkiem poruszonym, jakby ogłupiałym ze zadowolenia. Przyjemnym mu było nawet uciszać dziecko Wiktora, bo było i jej zarazem. Bez nienawiści też patrzył na daleki profil człowieka, który popychał przed sobą pług daleko na kraju horyzontu.

Ale ojciec Amable przeciwnym był temu małżeństwu, sprzeciwiał się mu z zaślepieniem kaleki, z gwałtownym uporem. Nadaremnie Cezar krzyczał mu do jednego ucha, przez które jeszcze nieco słyszał:

– Będziemy się dobrze opiekować ojcem zapewniam cię że to jest dobra dziewczyna, pracowita, oszczędna.

Stary powtarzał zawsze: póki ja żyję nie zobaczę tego nigdy.

I nic nie mogło go poruszyć i osłabić jego uporu. Jedną tylko pozostawała dla Cezara nadzieja. Ojciec Amable czuł lęk przed proboszczem lęk powodowany bliskością śmierci, którą czuł, że nadchodzi. Zresztą nie obawiał się tak bardzo ani Boga, ani diabła, ani piekła, ani czyścica, o których pojęcia nawet dobrego nie miał, ale obawiał się księdza, który był niejako uosobieniem pogrzebu, tak jak obawiać się można lekarzy przez lęk przed chorobami. Od ośmiu dni od których Celestyna poznała tę słabość starego, popychała Cezara, by poszedł do proboszcza. Cezar się wahał, nie lubił i on bowiem czarnej sutanny, która znowu dla niego przedstawiała ręce wyciągnięte po datek, lub lekko zarobiony kawałek chleba.

Zdecydował się atoli na to właśnie i skierował się ku probostwu, myśląc nad sposobem przedstawienia swej sprawy. Proboszcz Raffin, mały, żywy ksiądz, chudy, nigdy nie golony, czekał na obiad grzejąc nogi przed kominkiem. Za wejściem Cezara odwrócił zaledwie głowę i zapytał:

– A, to ty Cezar, – no i cóż ty mi powiesz?

– Pragnąłbym z Jegomością pomówić – odrzekł Cezar i zatrzymał się zakłopotany przy drzwiach, trzymając w jednej ręce bat, a w drugiej czapkę.

– Mów zatem.

Cezar spoglądając na starą gospodynię księdza, zajętą nakrywaniem do stołu, nieśmiało powiedział:

– Kiedy to proszę łaski księdza proboszcza, jest tak, jakby spowiedź.

Proboszcz Raffin, z uwagą spojrzawszy na wieśniaka, spostrzegł jego zakłopotanie, jego nieśmiałość i niespokojny wzrok i zawołał:

– Maryo, idź sobie na pięć minut do swego pokoju, mam coś do pomówienia z Cezarem.

Służąca gniewnym wzrokiem obrzuciła chłopaka i mruczając wyszła.

Ksiądz zwrócił się do Cezara:

– No, wywnętrz się Cezar.

Chłopak wahał się jeszcze, spoglądał na swoje saboty mnąc czapkę w rękach, potem nagle zdecydował się:

– Oto, żenić się chcę z Celestyną.

– Dobrze chłopcze, a któż ci to broni?

– Ojciec mój nie chce.

– Twój ojciec?

– Tak, mój ojciec.

– A cóż on ma przeciw temu?

– To, że ona ma dziecko.

– Ach, no! ona nie pierwsza, której się to zdarza od czasu naszej matki Ewy.

– Ona ma dziecko z Wiktorem, z Wiktorem Lecoq, służącym od Antyma Loisel.

– Tak, tak, – i dlatego on nie chce?

– Dlatego. – No i jakże ty go chcesz przekonać?

– Przedstawiam mu że ona jest dobrą dziewczyną, pracowitą i oszczędną.

– I to mu nie wystarczy? Chcesz zatem bym z nim pomówił?

– Bardzo proszę o to Jegomości.

– A cóż mam powiedzieć twemu ojcu, czem go przekonać?

– No, to co mówi ksiądz proboszcz na kazaniach, żeby skłonić do dawania składek.

W umyśle biedaka cały wysiłek religii polegał na otwieraniu sakiewek i wypróżnianiu kieszeni ludzi żeby napęłnić skarbami niebo. W jego pojęciu było to jakby jakiś ogromny dom handlowy, którego agentami byli księża, agentami do tego przebiegłymi, chciwymi, zachłannymi agentami robiącymi interesa dla pana Boga, a ze szkodą wierzących biedaków. Wiedział wprawdzie dobrze, że księża czynią wiele dobrego, szczególnie dla najbiedniejszych, chorych, umierających, że pocieszają, radzą, podtrzymują – ale że w miarę swoich zasobów, w zamian za białe pieniążki pięknie błyszczące srebro, opłacające sakramenta, msze, rady, protekcyje, przebaczenie grzechów lub ich pobłażanie, czyścić albo raj w miarę bogactw i szczodrości grzeszników.

Ksiądz Raffin który znał swych ludzi nie obrażał się nigdy, roześmiał się.

– Dobrze mój drogi opowiem mu tę małą historyjkę, ale ty chłopcze musisz przyjść na to kazanie.

Cezar położył rękę jak do przysięgi:

– Przysięgam że przyjdę, jeśli ksiądz proboszcz dla mnie to zrobi.

– Zatem dobrze. A kiedyż ja mogę się z twoim ojcem zobaczyć?

– Im wcześniej, tem lepiej, zaraz – jeśli łaska.

– Będę za pół godziny, – przyjdę po wieczery.

– Za pół godziny!

– Zatem ułożone, – dowidzenia mój chłopcze.

– Do zobaczenia, bardzo dziękuję.

– Nie masz za co, mój chłopcze.

I Cezar powrócił do swego domu, czując że wielki ciężar spadł mu z serca.

Cezar Houlbrèque dzierżawił małą, bardzo małą fermę, nie byli bowiem bogaci, ani on, ani jego ojciec. Żyli marnie, sami, przy pomocy służącej, dziecka lat piętnastu, która gotowała im pożywienie, pilnowała kur, doila krowy i robiła masło. Cezar był dobrym rolnikiem ale zamało mieli ziemi i zamało bydła, ażeby wydobyć więcej ponadto co dla nich samych było konieczne. Stary już wcale nie pracował. Ponury jak wszyscy głusi, rozbolały, pomarszczony i przygarbiony, łąził po polach podpierając się kijem, spoglądając na ludzi i zwierzęta wzrokiem twardym i nieufnym. Czasem siadał na brzegu rowu i trwał tak godzinami bez ruchu, zamyślony nad rzeczami, które niegdyś go obchodziły, nad cenami jaj lub zboża, nad deszczem lub słońcem, które pomagają lub przeszkadzają

róść plonom. I dręzione reumatyzmem jego stare członki, chłoneły jeszcze wilgoć ziemi, tak jak wchłaniały w siebie od lat siedmdziesięciu wyziewy murów jego niskiej chaty nakrytej wilgotnem poszyciem słomy.

O zachodzie słońca powracał do domu, zasiadał zawsze na tem samem miejscu w kuchni i kiedy postawiono przed nim garnek gliniany z zupą, obejmował go swymi pokręconymi palcami i grzał obie ręce, zimą czy latem, zanim rozpoczął jeść; ażeby nic nie stracić, ani odrobiny gorąca zużytego ognia, który drogo kosztuje, ani jednej kropli zupy okraszonej nieco tłustością i solą, ani okruszyny chleba.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.